

Do 2050 r. ponad 143 mln ludzi będzie się chciało dostać do krajów, gdzie będzie woda. "Wojny są nieuniknione"

Wioletta Kruk

29 — 38 minut

Ewidentnie mamy do czynienia z suszą. W dużym skrócie: w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat bardzo wzrosło zapotrzebowanie na wodę. Równocześnie maleje ilość dostępnej wody. Sumaryczna liczba opadów niewiele się różni, natomiast różni się ich charakter. Mamy też większe parowanie. Klimat jest cieplejszy, więc woda, która spada na ziemię, szybciej wysycha. Jakby tego było mało, zubażamy zasoby wody pitnej, zanieczyszczając ją ściekami.



Dr hab. Ewa Węgrzyn, prof. Uniwersytetu Rzeszowskiego.

Co mówią liczby?

– Że przez ostatnie 50 lat odnawialne zasoby wody słodkiej przypadające na mieszkańca Europy zmniejszyły się o 25

proc. Mniej więcej jedna trzecia terytorium Unii Europejskiej jest narażona na stały lub tymczasowy deficyt wody. Mamy takie kraje jak Grecja, Portugalia, Hiszpania, które latem doświadczają poważnych susz. Dla nas to ważni dostawcy owoców i warzyw, więc ich problemy stają się naszymi.

Woda zajmuje 71 proc. powierzchni naszej planety.

– Tylko że większość jest słona – w morzach i oceanach. Słodka woda stanowi zaledwie 2,5 proc. A bardzo duża część to lodowce i śniegi. Zostaje nam 1 proc. słodkiej wody pitnej, z której możemy skorzystać. Przy czym część znajduje się głęboko pod ziemią i trudno się do niej dostać.

1 proc. to prawie nic.

– Jeżeli zaczynamy zużywać jej więcej, a z powodu ocieplenia klimatu ona intensywniej paruje, to okazuje się, że z tej stosunkowo niewielkiej ilości zostaje już tak mało, że mamy suszę. Mówiłam o Europie, ale w Polsce jest jeszcze gorzej. Na jednego mieszkańca przypada trzy razy mniej wody niż średnio w krajach europejskich. Jesteśmy na przedostatnim miejscu, jeśli chodzi o jej zasobność.

Powiedziała pani, że zapotrzebowanie na wodę rośnie. Na co ją zużywamy?

– Większość osób reaguje wielkim zdziwieniem, kiedy okazuje się, że gospodarstwa domowe zużywają jej zaledwie ok. 12 proc. Najwięcej, bo ok. 70 proc., wykorzystuje przemysł oraz rolnictwo. Większość wody przeznaczamy do wyprodukowania żywności i napojów.

W Polsce najwięcej, bo 70 proc. całkowitego poboru wody, pochłania przemysł węglowy.

Bardzo dużo wody zużywamy na produkcję energii elektrycznej, która opiera się na węglu. To nieoczywiste, ale zużywając prąd, nie gasząc żarówek, przyczyniamy się do suszy w Polsce. Wracając do przemysłu spożywczego, też można się zdziwić, bo np. produkcja kilograma wołowiny pochłania 15 tys. litrów wody.

To ogromna ilość.

– Wołowina jest chyba najbardziej wodochłonna. Produkcja kilograma drobiu wymaga ok. 4,5 tys. litrów wody. Równie kosztowny jest nabiał. Do wyprodukowania kilograma sera potrzeba 3,2 tys. litrów wody. Dużo mniej pochłania uprawa warzyw. Na przykład na kilogram pomidorów potrzeba tylko 200 litrów wody. Kilogram gorzkiej czekolady? Ponad 17 tys. litrów. Przemysł odzieżowy nie jest dużo lepszy. Kilogram dżinsów, czyli pewnie dwie pary spodni, to 8 tys. litrów wody.

Do czego potrzeba aż tyle wody?

– Do wyhodowania bawełny, do której zazwyczaj stosuje się nawadnianie, do jej przetwórstwa i efektu finalnego. Choć nie zdajemy sobie z tego sprawy, zużywamy szalenie dużo wody.

W domach też?

– Człowiek powinien pić ok. trzech litrów wody dziennie. Tymczasem, jeśli spojrzeć na statystyki, Polak zużywa między 90 a 150 litrów. Zaskakująco dużo wylewamy do ogródków i toalet.

Szacunki pokazują, że 40 proc. dziennego zużycia wody spływa do kanalizacji. Najbardziej oszczędne słuźczki zużywają przy słuźkaniu trzy litry wody. Jeżeli użyjemy jej 10 razy dziennie, a mamy czteroosobową rodzinę, to daje już ponad 100 litrów. Jedna kąpiel w wannie to 120–150 litrów. Dzienny ślad wodny jednego mieszkańca Polski, wliczając w to zużycie wody w przemyśle i rolnictwie, wynosi 4 tys. litrów. To cały basen. Dla porównania: szympan, który jest najbliższym krewnym człowieka, zużywa dziennie od jednego do czterech litrów wody. To pokazuje, jak duże ilości wody zużywamy w porównaniu z innymi mieszkańcami planety.

Od kilku lat mierzymy się z intensywnymi burzami, które prowadzą do powodzi błyskawicznych. Susza, która kojarzy się z brakiem opadów, ma z tym coś wspólnego?

– Przez ostatnie wieki żyliśmy w bardzo stabilnym klimacie, który się nie ocieplał, a opady były stosunkowo częste i łagodne. To idealna sytuacja, kiedy woda krąży w przyrodzie w zrównoważony sposób. Trochę odparuje z ziemi, za chwilę spadnie w postaci deszczu i wsiąknie z powrotem. Natomiast jedną z konsekwencji ocieplenia klimatu jest to, że choć woda krąży tyle samo, to po pierwsze – często zaczyna spadać w innych miejscach niż wcześniej, np. nad oceanem, co niewiele nam daje na lądzie, na którym żyjemy. Jest jeszcze druga różnica.

Jaka?

– Zapomniała pani kiedyś podlać przez długi czas kwiatek? Ziemia w doniczce zasycha na bryłę i kiedy spróbujemy go podlać, woda, zamiast się wchłaniać, przelewa się bokiem i wypływa. Kiedy opady stają się nierównomierne, ziemia wysycha na kamień. Potem przychodzi bardzo ulewny deszcz, który zamiast wsiąkać, spływa po zaschniętej skorupie gleby. Musiałoby padać długo i najlepiej niezbyt intensywnie, aby powoli rozmożyć glebę i przywrócić jej chłonność. Przy gwałtownej ulewie woda spływa do koryt rzek, gdzie się gromadzi. I nie dość, że mamy dalej przesuszoną ziemię, to jeszcze w niższych biegach rzeki – powódź.

Do takich zmian pogodowych musimy się przyzwyczaić. A może jest inne wyjście?

– Musielibyśmy zatrzymać ocieplenie klimatu, czyli emisję dwutlenku węgla, a to oznacza odstawienie samochodów oraz wyłączenie prądu, co jest nierealne. Na to nakładają nam się jeszcze inne rzeczy, które robimy w przyrodzie, i one mogłyby funkcjonować lepiej. Pierwszą jest wycinka lasów. One są jak wielkie, naturalne gąbki. Parowanie wody w lesie z gleby jest utrudnione, bo korony drzew nie dopuszczają do ziemi promieni słonecznych. Kiedy więc pada, las wchłania wodę, magazynuje ją, a potem powoli uwalnia. Problem polega na tym, że rocznie wycinamy ok. 2 gigaton drzew. To są 2 mld ton!

My, czyli...

– Świat. Z kolei w skali Polski wszystkie parki narodowe stanowią zaledwie 1 proc. powierzchni kraju. A nie każdy jest leśny. Lasy przemysłowe, które uprawiamy w celu pozyskania drewna, nie są typowymi ekosystemami leśnymi, które do końca spełniają swoje funkcje, ponieważ ich bioróżnorodność nie jest tak bogata. Pewne jest jednak to, że wycinka lasów ma niedyskutowalne pośrednie i bezpośrednie związki z suszą.

Jeżeli w górnych biegach rzek wytnie się drzewa, na niżej spowodujemy powódzie. Deszcze w górach są najintensywniejsze. Jeśli tam nie ma lasów, woda bardzo szybko spływa. Góry zaczynają być przesuszone, a na nizinach mamy powódzie.

Zmian klimatycznych nie da się już zatrzymać, ale trzeba zwrócić uwagę, że ocieplenie klimatu oznacza roztopianie się lodowców. Wiele rzek bierze w nich swój początek i w ciągu najbliższych kilku dziesięcioleci całkowicie wyschnie. To np. Ren czy Kolorado.

Ren nie wygląda dziś dramatycznie.

– Bo pod wpływem ocieplenia klimatu intensywnie wytapia się lodowiec, który jest jego źródłem. Tak będzie jeszcze przez 10–20 lat. Ale kiedy lodowiec się wytopi, rzeka wyschnie. Taka sama sytuacja jest z Kolorado, która przepływa przez Stany Zjednoczone i Meksyk. W przeszłości w jej delcie rosła przepiękna tropikalna dżungla. Dziś jest tam pustynia. Nawet kropla nie dociera już do oceanu. Kolorado kończy swój bieg wypompowywana całkowicie przez ludzi na pola uprawne i do miast. Dodatkowo wszystkie miejsca, które czerpią z niej wodę, mają bardzo duże deficyty wody, bo Kolorado bierze swój początek w Górach Skalistych, gdzie jest zasilana przez topniejące śniegi, których jest coraz mniej. Nie mamy na to wpływu, ale to pokazuje, że problemy z wodą będą coraz większe.

Najgłupsza działalność człowieka? Osuszanie. W Polsce w latach 70. mieliśmy bardzo szeroko zakrojony proces melioracji, czyli osuszania mokradeł i obszarów podmokłych, które odgrywają ważną rolę w retencji wody. Dodatkowo regulujemy rzeki. One już nie meandrują, bardziej przypominają kanały, przez które woda błyskawicznie spływa do morza. Nic nie zostaje w środowisku. W

naszym kraju uregulowano 60 tys. km z 75 tys. km wszystkich rzek.

To akurat można próbować naprawiać.

– Łatwiej regulować rzekę niż przywracać ją do stanu naturalnego. Niemcy podejmują takie procesy, bo zauważyli, że regulacje rzek są bardzo szkodliwe. W Polsce brakuje na to funduszy, chęci i mocy przerobowych, więc nie poradzimy sobie z tym szybko. Bardzo często człowiek najpierw zrobi coś złe, czyli osuszy teren, rzeki ureguluje, a potem stwierdzi: „Potrzebna jest retencja”. Nierzadko te rozwiązania tylko pogarszają sytuację. Przykładem jest sztuczne jezioro Jeziorsko. To zbiornik retencyjny. Duży oraz płytki. Ocieplenie klimatu i wiele gorących dni sprawia, że dziennie więcej wody z niego odparowuje, niż do niego wpływa. Retencja to dobre rozwiązanie, pod warunkiem że jest naturalna. Jeżeli robi to człowiek, musi to zaplanować naprawdę mądrze.



Susza (zdjęcie ilustracyjne) Fot. Patryk Ogorzałek / Agencja Wyborcza.pl

Gdyby człowiek pozwolił przyrodzie funkcjonować według jej praw, nie majstrował przy korytach rzeki, zostawił w spokoju lasy, problemu by nie było. Zdaje sobie sprawę z konsekwencji, ale nie bierze ich pod uwagę, bo myśli tylko o sobie.

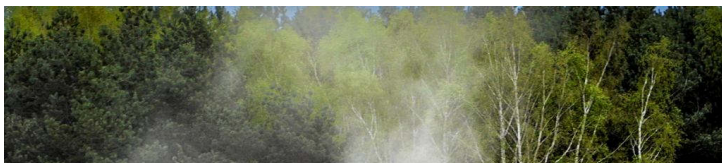
– Na pewno. Z zasobów Kolorado korzysta siedem stanów. Ich władze oszacowały, ile wody płynie w tej rzece, i podzieliły ją między siebie. Nie dość, że przeszacowały, to nawet nie wpadły na to, że cokolwiek powinno zostać dla Meksyku, nie mówiąc już o rybach. W ten sposób zaburzamy ekosystemy, które zamierają, a w końcu wszystko przestaje działać tak, jak powinno. Jest też kilka nieoczywistych rzeczy, które przyczyniają się do suszy. Na przykład jazda na nartach.

W jaki sposób?

– Większość stoków jest dziś naśnieżana armatkami, które powodują zanikanie górskich potoków. Przykładem jest potok Białka w Tatrach. Tyle wody wypompowuje się armatkami, że on całkowicie zanika. A jeżeli u źródeł w górach zaburzymy przepływy potoków, to niżej będzie brakować wody.

Inny przykład: pobieranie z koryt rzecznych żwiru i piasku do celów budowlanych. To powoduje, że rzeka obniża swój poziom. A to z kolei sprawia, że spada poziom wód gruntowych na przyległych do tej rzeki terenach. Skutkiem tego jest susza, bo rośliny nie mogą sięgnąć korzeniami do tych wód. I nie chodzi wcale o małe roślinki. Z tego powodu wysychają np. dęby w Puszczy Niepołomickiej. Myślę, że przeciętna osoba wydobywająca żwir z rzeki nie ma pojęcia, że właśnie przyczynia się do wystąpienia suszy w otaczającym środowisku.

Mamy jeszcze nadmierną eksploatację wód gruntowych. W niektórych rejonach, gdzie opadów jest mało, przemysł, rolnicy czy mieszkańcy często polegają na studniach głębinowych i pompach do wydobywania wody. Intensywne wypompowywanie wody chwilowo pomaga, bo możemy w ten sposób nawodnić nasze pole, ale to obniża poziom wód gruntowych i utrudnia dostęp do wody w czasie suszy. Doprowadzamy do tego, że jeśli tych obszarów nie nawadniamy, to już nic tam nie urośnie.



Susza dotyka rolników Fot. Piotr Skórnicki / Agencja Wyborcza.pl

Co roku słyszymy o zmaganiach rolników z suszą. Jeżeli nawodnią uprawy, obniżą poziom wód gruntowych. Co więc powinni zrobić?

– Jeżeli pobierają wodę ze studni głębinowych, to chwilowo łąają problem. Docelowo tylko go pogłębiają. Czy w obliczu suszy, która jest już faktem, nawadnianie pól rozwiąże problemy uprawy roślin? Nie. Wystarczy spojrzeć w przeszłość. Mniej więcej 7 tys. lat temu ludzie po raz pierwszy uzyskali obfite plony na pustyni dzięki skierowaniu wód rzecznych na pola. W Mezopotamii, na Nizinie Tygrysu i Eufratu, rozkwitła pierwsza ludzka cywilizacja tylko dlatego, że inteligencja i postęp umożliwiły zbudowanie kanałów irygacyjnych. Kanały pomiędzy rzekami wydawały się genialnym rozwiązaniem. Chwilowo dokonano cudu i w ciągu kilkuset lat cywilizacja Sumerów bardzo się rozwinęła. Kłopot w tym, że nawadnianie z czasem prowadzi do zasolenia gleby. Na niektórych obszarach już po 20 latach pola stają się białe od wykwitu soli, a na innych trzeba kilkuset lat.

I nic tam już nie urośnie?

– W pierwszym etapie konieczna jest zmiana uprawianych roślin na takie, które tolerują większe zasolenie, czyli np. uprawy pszenicy zastępuje się jęczmieniem. W Mezopotamii początkowo na żyznych, nawodnionych terenach uprawiano samą pszenicę, później na coraz większych obszarach był uprawiany jęczmień. W końcu pszenicy nie było wcale. A na koniec nawet jęczmień tam nie

róst. Cywilizacja chyliła się ku upadkowi, bo zaczął panować głód. W kolejnym etapie porzucono pola, na których ze względu na zbyt duże zasolenie nie dało się już niczego uprawiać.

To nieodwracalny proces?

– Trzeba by użyć ogromnych ilości wody, żeby spłukać tę sól. Dzisiaj w Iraku, czyli na terenach dawnej Babilonii w Mezopotamii, pola wyglądają dramatycznie źle. Są nieurodzajne i pokryte białymi wykwitami soli od 7 tysięcy lat. Ten scenariusz rozegrał się wielokrotnie, wszędzie, gdzie ludzie zaczęli nawadniać swoje pola. To samo stało się w Iranie i Chinach.

Może potrzeba lepszej technologii?

– Wydaje się, że nie. W Kalifornii, najbardziej rozwiniętym i najbogatszym stanie USA, obecnie 50 proc. nawadnianych gruntów ornych nie nadaje się do uprawy ze względu na zasolenie. W krajach Azji, np. w Azerbejdżanie – 40 proc. W Pakistanie – 20 proc. Tam wystarczyło 40–50 lat, by tereny nie nadawały się do dalszych upraw. Światowe dane mówią, że w wielu krajach, gdzie stosuje się irygację, połowa obszarów uległa już zasoleniu. Dotyka to aż 20 proc. wszystkich terenów rolniczych na ziemi.

Właściwie dlaczego, kiedy nawadniamy słodką wodą, dochodzi do zasolenia?

– Woda z rzeki albo ze studni w smaku jest dla nas słodka, ponieważ stężenie soli jest na tyle małe, że ich nie wyczuwamy, ale je zawiera. Natomiast woda pochodząca z deszczu jest jak woda destylowana. Może zawierać jakieś zanieczyszczenia z powietrza, ale co to zasady nie zawiera soli, gdyż powstaje na skutek uprzedniego parowania, a sole nie mają zdolności do wyparowywania. W chmurach woda jest czysta i spadając na ziemię, nie wnosi do upraw soli. Dopóki deszcz nawadnia nasze pola i lasy, dopóty zasolenie nie wzrasta.

Ale kiedy sięgamy po wodę z rzeki, w której jest rozpuszczona niewielka ilość soli, one zostaną w ziemi. Nawadnianie pól

krótkoterminowo jest dobre, bo z najbardziej suchego pola możemy uzyskać bogate plony, ale przez ograniczony czas. Podczas nawadniania, na skutek ciągłego dostarczania na dany teren niewielkich ilości soli, w końcu doprowadzamy do takiego poziomu zasolenia, że ziemia nie nadaje się do uprawy. Czas, w jakim to nastąpi, zależy od zawartości soli w wodzie, której używamy do nawadniania, ale sam proces jest nieunikniony.

A czy odsalanie wody wchodzi w grę? Niektóre kraje już próbują odsalać wodę z oceanów.

– Gdybyśmy chcieli do upraw odsalać wodę z oceanów czy rzek, rośliny wyhodowane w ten sposób byłyby poza zasięgiem możliwości naszego portfela. Mamy technologię, która pozwala odsolić wodę, ale ona jest niesamowicie energochłonna. I wracamy do punktu wyjścia – produkując energię, zwykle uwalniamy do atmosfery duże ilości dwutlenku węgla, co istotnie podniesie temperaturę. A to z kolei przyczyni się do jeszcze większej suszy i pustynnienia terenów. No chyba że mielibyśmy wielkoskalową technologię odsalania wody bez użycia energii, ale do tej pory nikt czegoś takiego nie wymyślił.

Urbanizacja nie pomaga w walce z suszą. W miastach brakuje retencji, a rewitalizacje kończą się betonozą.

– Do 1800 r. w miastach zamieszkiwało poniżej 5 proc. całej ludności świata, a też liczba tej ludności nie była zbyt wysoka. Dzisiaj połowa ludzi mieszka w miastach. To 4 mld. Miasta muszą się rozbudowywać. Każdego dnia w Europie jest zabudowywany obszar wielkości ponad 250 boisk piłkarskich. Tylko do 2010 r. wybetonowaliśmy teren równy powierzchni Francji. Całkowicie wyłączaliśmy go z obiegu w naturze.

Przeczytaj także: [Bocian, poszatkowany jak z broni maszynowej. Miał przestrzeloną wątrobę, płuco, przewód pokarmowy, złamaną miednicę i skrzydło](#)

Za ile lat woda będzie cenniejsza niż złoto?

– Naukowcy przewidują, że w 2050 r., czyli stosunkowo niedługo, duże części świata będą albo za gorące do życia, albo suche, co spowoduje migracje ludzi. Obszary Afryki, Ameryki Południowej, Azji są dodatkowo gęsto zaludnione, więc migracja ludności z tych rejonów na tereny bardziej zdatne do życia – chłodniejsze i nadające się do upraw – może spowodować problemy. Ludność napływowa nasila procesy urbanizacji, co z kolei może prowadzić do kurczenia się terenów rolniczych. Konsekwencją może być spadek produkcji żywności, a także pogłębiający się deficyt wody. Niepokojący jest fakt, że to prognozy już na 2050 r. Jeśli będziemy o siebie dbać, dożyjemy tego momentu.

Ale susza nie będzie udziałem wyłącznie krajów Południa. Nawet uprzywilejowane w tej kwestii kraje Północy borykają się z narastającym problemem deficytów wody. Na przykład w Polsce mamy dokument o nazwie Polityka ekologiczna państwa do roku 2030. Został wydany w 2019 r. przez nasze Ministerstwo Środowiska i jest efektem współpracy bardzo dużej rzeszy naukowców.

Co z niego wynika?

– Na przykład to, że w województwie łódzkim roczne sumy opadów nie ulegają zasadniczym zmianom, jednak ich charakter staje się bardzo nierównomierny. Skutkiem tego są dłuższe okresy bezopadowe, kiedy ziemia się przesusza, a potem w czasie intensywnych opadów nie chłonie wody.

Już dochodzi do pustynnienia, a naukowcy ostrzegają, że w województwie łódzkim ten proces się nasili, a równoległe częstsze będą powodzie w dolinach największych rzek regionu: Warty, Pilicy i Bzury. Obszar deficytu wody będzie obejmować znaczną część województwa. Szacuje się, że na 90 proc. terytorium województwa łódzkiego już teraz istnieje zagrożenie wystąpienia opadów poniżej 400 mm rocznie. Poziom wód gruntowych będzie się obniżał, co negatywnie wpłynie na różnorodność biologiczną i zasoby. Nie chodzi tylko o to, że na polach rośliny nie sięgną korzeniami do wody. Drzewa też i skutkiem tego lasy zaczną wysychać. Stracimy naturalne gąbki, które przechowują wodę. Będą wysychać zbiorniki

wodne oraz tereny podmokłe. Dokument, który przedstawia politykę ekologiczną państwa do roku 2030, pokazuje m.in., że już mamy w Polsce deficyty wody.

Skoro my to wszystko wiemy, dlaczego nie rezygnujemy z węgla, nie ograniczamy produkcji mięsa? Zmiany na tym etapie nie mają już sensu?

– Tak naprawdę najwięcej do powiedzenia mają rządy i politycy. Żaden rząd, który jest u władzy, szczególnie taki, który ma populistyczną strategię, nie zdecyduje się na coś, co dla ludzi będzie niewygodne, bo może stracić poparcie.

(Interes rządzących, czyli wygranie kolejnych wyborów, nie idzie w parze z długoterminowym zrównoważonym rozwojem.

To nie jest tak, że władze nie wiedzą, co się dzieje. Wiadomo, że na tle Europy już mamy w Polsce kryzys wodny, więc trzeba wprowadzać politykę mądrego zarządzania wodą i ograniczenia jej zużycia. Nie pomoże zakręcenie kranu podczas mycia zębów. Konieczne są efektywne oszczędności na poziomie rolnictwa, przemysłu, a to wymaga zaangażowania dużych środków, które w naszym kraju są rozdawane ludziom ku radości biorących. Trzeba by przestać je rozdawać i zainwestować w poważne zmiany, restrukturyzację procesów produkcyjnych czy oczyszczalnie wody. Takim palącym problemem jest np. katastrofalny stan Odry i brak jakichkolwiek działań w kierunku jego poprawy.

Wojny o wodę są prawdopodobne?

– One będą nieuniknione. Wspomniana już rzeka Kolorado płynie przez stany, które podzieliły jej wody między siebie. Meksyk od lat protestuje, że jest okradany. Ta woda powinna należeć się również ludziom po drugiej stronie granicy. Jest zawłaszczona w Stanach Zjednoczonych, a jakby tego było mało, kiedy nawadniają tam pola, to żeby spowolnić zasolenie, stosują pewne techniki splukiwania i odprowadzają część wody z powrotem do Kolorado, niestety, ze zwiększoną ilością soli. Rzeka, która wpływa do Meksyku, nie tylko niesie małe ilości wody, ale też jest poważnie zasolona.

Meksykanie, którzy chcą ją wykorzystać do irygacji pól, zasalają ją w dużo szybszym tempie. Pomiędzy USA a Meksykiem od lat panuje spór w tej kwestii. Do wojny szybko nie dojdzie ze względu na brak równowagi sił. Trudno się spodziewać, że Meksyk zaatakuje Stany Zjednoczone. W przyszłości, gdy woda stanie się jeszcze bardziej deficytowym towarem, prawdopodobne są scenariusze, w których silniejsze kraje będą zawłaszczają wodę krajów biedniejszych, a tam, gdzie będzie równowaga siły czy gospodarki, może dochodzić do walki o wodę.

Przewiduje się, że jeśli do 2050 r. nie zostaną podjęte żadne działania (choć nie do końca wiadomo, jakie by one miały być), to ponad 143 mln migrantów klimatycznych wyruszy w drogę do krajów, gdzie jeszcze będą zasoby wody i można coś uprawiać. Szacuje się, że 86 mln ludzi będzie migrować z Afryki Subsaharyjskiej, 40 mln – z Azji Południowej, a 17 mln – z Ameryki Łacińskiej.

Już dziś widać, jak niechętni jesteśmy imigrantom. A pani mówi o kilkudziesięciu milionach.

– Dla 86 mln ludzi z Afryki kierunkiem migracji nie będzie Australia czy Stany Zjednoczone. To nie są bogaci ludzie, którzy kupią sobie bilety na samoloty. Oni często będą szli na piechotę lub korzystali z lokalnych środków transportu. Ich najbardziej prawdopodobnym kierunkiem migracji będzie Europa. I nie można będzie powiedzieć, że to migranci poszukujący wygodnego życia czy dostatku. Oni będą uciekać przed śmiercią z głodu i pragnienia, więc trudno będzie zamknąć przed nimi granice. Ja sobie tego nie wyobrażam etycznie. Jak by to miało wyglądać? Postawimy dookoła Europy mur i powiemy: „My jeszcze mamy wodę, pola uprawne i chcemy to dla siebie zachować. A wy macie pecha, więc budujemy mur, wystawiamy wojsko z bronią, żeby nikt nam tu nie wszedł”? Z kolei jeśli nie zamkniemy granic, nasze zasoby również się skurczą, bo podzielimy je na znacząco większą liczbę osób. Przed nami ciężkie czasy i wiele dylematów moralnych, których nie potrafię rozstrzygnąć. Jak się odnajdziemy w świecie, w którym trzeba będzie się zastanawiać, ile odjąć sobie, a ile dać komuś? Do jakiej

granicy się posuniemy, żeby ktoś przeżył? W krajach Zachodu mamy niesamowity moment w historii. Żyje nam się bardzo dobrze. Nie chcemy tego ograniczać i ustępować miejsca innym.

Mamy przywilej, bo urodziliśmy się w Europie. Ale to nie nasza zasługa. Jakie mamy prawo odmówić pomocy?

– Łatwo się oddaje na początku, kiedy ma się dużą nadmiarowość i widzi głodnego, spragnionego człowieka. Każdy w odruchu serca odda, ale później nadmiarowość będzie się kurczyć, potem nie będzie jej wcale, a w końcu pojawi się deficyt. Wtedy chęć do podziału będzie mniejsza. To trochę jak z uchodźcami z Ukrainy. Inny był stosunek Polaków do nich na początku wojny, kiedy większość reagowała dużym wsparciem. Teraz społeczeństwo wydaje się zmęczone tym, że wojna się przedłuża, że zaczynamy odczuwać jakieś dyskomforty, chociaż one tak naprawdę na razie są śmieszne. Myślę, że kiedy trzeba się dzielić w sytuacji deficytu, dobra wola się kończy.

Puenta skłaniająca do refleksji, choć napawająca strachem...

– Nie jestem pesymistką. Po prostu uważam, że lepiej przyglądać się rzeczywistości na trzeźwo niż ją zaczarowywać, bo później budzimy się z ręką w nocniku i w panice próbujemy coś poradzić. A panika nie jest dobrym doradcą. Człowiek potrafi sobie poradzić w bardzo trudnych sytuacjach, jeśli nie jest nimi zaskoczony. Dlatego lepiej o tych rzeczach mówić, chociaż ludzie nie chcą tego przyjmować do wiadomości. Nigdy w skali świata nie było takiego dobrobytu, jaki mamy teraz w krajach Zachodu. Zupełnie nie chcemy tej fajnej imprezy psuć czarnymi myślami, że jest za pięć dwunasta i za chwilę zamykają lokal. Ale z drugiej strony, jeśli wiadomo, że tak czy inaczej to się wydarzy, warto się zastanowić, co będzie po północy.